

Marek Magierowski: Wyspa. O brytyjskich problemach z kontynentem

I konserwatyści, i laburzyści musieli przez lata lawirować między oczekiwaniami zdecydowanie eurosceptycznego rodzimego elektoratu a oczekiwaniami przywódców krajów Europy kontynentalnej



I konserwatyści, i laburzyści musieli przez lata lawirować między oczekiwaniami zdecydowanie eurosceptycznego rodzimego elektoratu a oczekiwaniami przywódców krajów Europy kontynentalnej - Rozdział z książki *Zmęczona. Rzecz o kryzysie Europy Zachodniej*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2013. Książka jest objęta patronatem medialnym Teologii Politycznej

Gdy chcemy kogoś przekonać, zaskoczyć lub oczarować, często uciekamy się do Znanego Cytatu Wielkiego Człowieka. Kto bowiem ośmieli się dyskutować z poglądami Platona, Einsteina czy Martina Luthera Kinga? Któż nie ulegnie naszemu urokowi, kiedy zaczniemy sypać jak z rękawa sentencjami Juliusza Cezara, Abrahama Lincolna czy Gandhiego?

Niestety, zazwyczaj okazuje się, że słowa takie nigdy z ust Wielkiego Człowieka nie padły. Czasem też dowiadujemy się, że wiekopomne maksymy znane są jedynie z relacji osób trzecich. Albo że zostały przekręcone. Wreszcie, że bezceremonialnie wyrwano je z kontekstu. A jednak żyją własnym życiem, bo są niezniszczalne i bardzo przydatne. Szczególnie w polityce.

Stronnicy unijnego federalizmu właściwie nigdy nie powołują się na brytyjskich mężów stanu – z jednym wyjątkiem: gdy chodzi o słynne przemówienie wygłoszone przez Winstona Churchilla 19 września 1946 roku na uniwersytecie w Zurychu. Premier Wielkiej Brytanii mówił wówczas m.in. o „konieczności budowy Stanów Zjednoczonych Europy”. Ten nowy byt, oparty na przyjaźni i solidarności, miał sprawić, iż Stary Kontynent już nigdy nie będzie cierpiał z powodu wojen i niedostatku.

Tym cytatem są dziś nader często bombardowani przeciwnicy głębszej integracji Unii Europejskiej. Oto polityk na wskroś brytyjski i na wskroś konserwatywny, patriota wierzący w potęgę Albionu, opowiadał się za

federacją już blisko siedemdziesiąt lat temu! A zatem – dowodzą euroentuzjaści – Brytyjczycy, a w szczególności torysi, nie zawsze byli eurosceptykami. W przeszłości mieli dużo rozsądniejszych poglądów na Europę. Zaś David Cameron, który ciągle tylko psioczy na Brukselę i lekkomyślnie izoluje swój kraj, powinien się wstydzić, że nie idzie drogą swojego wielkiego poprzednika.

Jak polemizować z takimi stwierdzeniami? Uznać, że historyczne okoliczności usprawiedliwiały głoszenie takich tez? Że Churchill nie zawsze miał rację? Że dzisiejsza Unia Europejska nie ma nic wspólnego z wizją Schumana i Monneta?

Jest prostszy sposób: wystarczy doczytać przemówienie Churchilla do końca. Rzućmy okiem na ostatni akapit: „Chciałbym teraz podsumować moje propozycje. Naszym stałym celem powinno być budowanie i wzmacnianie pozycji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ta globalna koncepcja powinna również obejmować próbę odtworzenia europejskiej rodziny, w ramach regionalnej struktury, którą nazwiemy, dajmy na to, Stanami Zjednoczonymi Europy. Pierwszym, praktycznym krokiem będzie stworzenie Rady Europy. Jeśli na początku nie wszystkie państwa będą chciały lub mogły się przyłączyć, i tak musimy dążyć do zjednoczenia tych, którzy chcą i mogą. Wszystkie narody, wszystkie państwa i wszystkie rasy mają prawo do życia w wolności i pokoju, lecz to prawo musi być oparte na solidnych fundamentach i musi być chronione przez ludzi gotowych oddać swoje życie w walce z tyranią. W tym przedsięwzięciu pierwsze skrzypce powinny grać Francja i Niemcy. Natomiast Wielka Brytania, Brytyjska Wspólnota Narodów, potężne Stany Zjednoczone oraz – mam nadzieję – także

sowiecka Rosja (bo tylko z jej udziałem osiągniemy sukces) powinny być przyjaciółmi i patronami nowej Europy, powinny wspierać jej prawo do życia i prawo do dumy ze swoich zdobyczy”.

Owszem, Churchill myślał o Stanach Zjednoczonych Europy, ale nie widział w nich miejsca dla swojego kraju. Wielka Brytania miała być jednym z „przyjaciół i patronów” nowego tworu, nie zaś jego członkiem. Nawet dla Churchilla, z którego federaliści na siłę starają się uczynić eurofila, Albion nie stanowił bowiem części Europy.

* * *

Źródłem tego światopoglądu należy szukać około 400 tysięcy lat temu, gdy Wielka Brytania nie była jeszcze wyspą. W wyniku rozmaitych procesów geologicznych i klimatycznych oderwała się z czasem od kontynentalnej masy i podążyła swoją drogą. Przecięta została raptem pępowina geograficzna, ale to właśnie geografia miała ogromny wpływ na to, jak kształtowały się relacje Wyspiarzy z resztą Europy... Przepraszam, nie z resztą Europy. Po prostu: z Europą.

W 1930 roku dziennik „The Daily Mirror” poinformował swoich czytelników: „Fog in Channel, Continent Cut Off” („Mgła w kanale La Manche, kontynent odcięty”). Krótkie zdanie, który do dziś budzi uśmiech, ale też znakomicie ilustruje brytyjski punkt widzenia. Wielka Brytania była zawsze globalnym mocarstwem, potęgą samą w sobie, jej statki pływały po wszystkich oceanach, kolonizatorzy i kupcy zapuszczali się w najdalsze zakątki Ameryki Północnej, Afryki i Azji. Żołnierze Jego lub Jej Królewskiej Mości zdobywali kolejne lądy i

zaprowadzali w nich swoje prawa oraz obyczaje. W swoim mniemaniu nieśli kaganek cywilizacji, choć nierzadko ta chwalebna misja wymagała od „edukowanych” narodów i plemion okrutnej daniny z krwi. Wreszcie imperium poszerzyło swoje granice na tyle, że nigdy nie zachodziło w nim słońce...

W tym dziele Albion nie tylko nie potrzebował pomocy Europy; Albion z Europą rywalizował. Z Hiszpanią, Portugalią, Francją, Holandią. Kanał La Manche miał dla Brytyjczyków znaczenie handlowe, jako trasa transportu złota czy przypraw do portów południowej Anglii, lecz także militarne – jako skuteczna zaporę przed francuskim albo hiszpańskim desantem. To właśnie we wschodniej części kanału doszło w 1588 roku do potyczki angielskiej floty z hiszpańską Armadą (tzw. bitwa pod Gravelines), w wyniku której okręty króla Filipa II zostały tak dotkliwie uszkodzone, że dokładnie połowa ze 130 jednostek nie wróciła do swoich macierzystych portów. To właśnie nad tym kanałem brytyjscy, kanadyjscy, polscy i czescy piloci zestrzeliwali niemieckie bombowce podczas II wojny światowej, skutecznie zniechęcając Adolfa Hitlera do pomysłu inwazji wojsk lądowych. Führer poradził sobie z linią Maginota, z kanałem La Manche już nie.

Druga wojna światowa ugruntowała u Brytyjczyków poczucie wyjątkowości, a jednocześnie osamotnienia. Skapitulowała Polska, upadły Holandia, Dania i Norwegia, Francja była pod okupacją, Związek Sowiecki ledwo trzymał się na nogach, a Hiszpania i Włochy wspierały Hitlera. Wielka Brytania stała się ostatnim bastionem wolności i demokracji w tej części świata. Europa była już stracona, Wielka Brytania zaś nadal stała na posterunku.

Niegdyś imperium było w ofensywie, teraz musiało się bronić: najpierw przed nazistowską nawałą, a później, w epoce zimnej wojny, przed szybką i bolesną utratą wpływów w świecie. Kolejne kolonie odrywały się od metropolii, inne kraje rosły w siłę i bogaciły się, podczas gdy Albion marniał w oczach. Na światowej scenie pozostali dwaj główni aktorzy: Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Osłabiona Wielka Brytania wstąpiła wtedy do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, ale nie zapomniała o swoim dawnym blasku. Nie miała zamiaru „przytulić się” do Brukseli niczym marnotrawna córka, nie chciała rozpuścić się w europejskości, nadal bowiem marzyła o powrocie do starych, dobrych czasów.

Moment chwały nadszedł w 1982 roku, gdy Brytyjczycy najpierw stracili Falklandy, by niemal natychmiast je odzyskać dzięki brawurowej operacji pod wodzą Margaret Thatcher. Znow mieli okazję wysłać swoje okręty daleko od własnych brzegów, na drugi kraniec świata. Albion, niczym cudownie odmłodzony buldog, znow zawarczał. W tym samym czasie, gdy niemieccy i francuscy przywódcy drżeli jak osiki przed sowieckimi generałami, Wielka Brytania dowodziła swej determinacji, odwagi i przywiązania do wartości.

W trakcie wojny o Falklandy Thatcher mogła liczyć (mimo początkowych oporów) na pomoc swojego druha – Ronalda Reagana, i to bardziej niż na sojuszników ze Starego Kontynentu. Ta *special relationship* łącząca brytyjskich premierów i amerykańskich prezydentów – niezależnie od partyjnych barw – jest także jednym z powodów, dla których Londyn woli trzymać się z daleka od Brukseli, Berlina i Paryża. Ameryka to nie tylko była posiadłość Imperium, to także kraj dzielący z Anglią język, kulturę polityczną, zamiłowanie do

wolnego rynku, przedsiębiorczości, a nawet poczucie humoru. Dla Brytyjczyków więzy z braćmi po drugiej stronie Atlantyku, mimo geograficznego oddalenia, były zawsze silniejsze niż z Europejczykami. Były to także więzy krwi – podczas II wojny światowej Europę wyzwalał ramię w ramię generałowie Eisenhower i Montgomery, w obu wojnach w Zatoce Perskiej Brytyjczycy wysyłali drugi co do wielkości kontyngent, tak samo było w Afganistanie. Oba narody mają podobne doświadczenia w wojnie z islamskim terroryzmem: Stany Zjednoczone przeżyły swój 11 września 2001 roku, Wielka Brytania – 7 lipca 2005 roku, gdy doszło do ataków bombowych w Londynie (notabene wśród ofiar zamachów w Nowym Jorku i Waszyngtonie największą grupę cudzoziemców stanowili Brytyjczycy – 65 osób, o trzynaście więcej niż zginęło łącznie cztery lata później w stolicy Wielkiej Brytanii).

Brytyjczyków i Amerykanów łączy liberalne podejście do gospodarki i do roli państwa. I w jednym, i drugim kraju słowo „państwo” ma raczej pejoratywny wydźwięk. Państwo kontroluje obywatela, państwo nakłada podatki, państwo stosuje represje. Przepaść między anglosaskim a europejskim spojrzeniem na interwencjonizm w gospodarce jeszcze się pogłębiła, od kiedy projekt „wspólnej Europy” skręcił w stronę socjaldemokratycznej utopii.

Wielką Brytanię łączy więcej z Ameryką niż z Europą, podobnie jak londyńskie City łączy więcej z Wall Street niż z giełdami europejskimi. Brytyjczykom zawsze zależało na tym, aby Londyn pozostał finansowym centrum Europy. O ile nie widzieli groźby ze strony Nowego Jorku, cały czas czuli na karku oddech Paryża czy Frankfurtu, które chciały odebrać mu palmę pierwszeństwa. Dla City to kwestia

prestżu, lecz także konkretnych zysków – transakcje dokonywane nad Tamizą stanowią blisko połowę całego rynku kapitałowego Unii Europejskiej.

Przez lata Brytyjczycy traktowali Europę jako dobre miejsce do robienia biznesu, ale niekoniecznie do uprawiania polityki. Euroentuzjaści powtarzają, iż Unia zdała swój egzamin, bo dzięki niej na Starym Kontynencie od prawie siedemdziesięciu lat panuje pokój. Jednak Brytyjczycy postrzegali zawsze Unię przede wszystkim jako narzędzie służące do poszerzania wolności i zwiększania zamożności Europejczyków. „Dzisiaj głównym zadaniem Unii Europejskiej nie jest osiągnięcie pokoju, lecz utrzymanie dobrobytu” – podkreślał w styczniu 2013 roku premier David Cameron w programowym przemówieniu na temat Europy. „Wyzwania, którymi musimy stawić czoła, nie mają swoich korzeni w Europie, lecz w szybko rozwijających się gospodarkach Wschodu i Południa. Oczywiście, rosnąca światowa gospodarka daje korzyści nam wszystkim. Nie możemy jednak zapominać, że toczy się na naszych oczach globalny wyścig, wielka rywalizacja o to, kto będzie w przyszłości bogatszy, kto będzie bardziej innowacyjny”.

Brytyjczycy obawiają się, że Unia Europejska, zamiast być motorem rozwoju, w coraz większym stopniu staje się balastem – dla nich samych, ale także dla pozostałych państw członkowskich. Bruksela to prawdziwa fabryka produkująca tysiące absurdalnych dyrektyw i zbędnych regulacji. W swojej wyspiarskiej mentalności Brytyjczycy widzą w Unii kolejnego najeźdźcę, który nie dokonuje wprawdzie fizycznej inwazji, nie ostrzeliwuje ich z okrętowych dział ani nie spuszcza bomb na Londyn i Coventry, lecz podkopyje ich wolność w inny sposób: za pomocą prawnej pętli, która zaciska się na szyi każdego

poddanego Jej Królewskiej Mości. Bruksela to synonim centralizmu władzy, wszechwładnego Lewiatana, który chce Europejczykom narzucić jednolite standardy w niemal wszystkich dziedzinach życia.

W mowie wygłoszonej w 1988 roku w Brugii Margaret Thatcher zwięźle wyłożyła obawy i zastrzeżenia Brytyjczyków co do planów stworzenia unijnego superpaństwa: „Europa będzie silniejsza, jeśli w jej skład będą wchodzić Francja jako Francja, Hiszpania jako Hiszpania, Wielka Brytania jako Wielka Brytania, ze swoimi obyczajami, tradycjami, własną tożsamością. Próba sportretowania tych wszystkich krajów przy pomocy jednej sztancy byłaby czystym szaleństwem. Niektórzy z ojców założycieli Wspólnoty myśleli, że wzorcem, za którym należy podążać, są Stany Zjednoczone Ameryki. Ale historii Ameryki nie sposób porównywać z historią Europy. Ludzie uciekali do Ameryki przed przeciwnościami losu i nietolerancją. Marzyli o wolności, szukali nowej szansy na życie. W ciągu dwóch stuleci ich zapał pomógł zbudować poczucie jedności i dumy z bycia Amerykaninem, tak jak my jesteśmy dumni z bycia Brytyjczykami, Belgami, Holendrami czy Niemcami. Nie mam wątpliwości, że w wielu obszarach kraje Europy powinny mówić jednym głosem. Powinniśmy połączyć siły tam, gdzie współpraca przynosi lepsze efekty niż działanie w pojedynkę: w sprawach dotyczących handlu, obrony czy relacji z resztą świata. Jednak ta ściślejsza współpraca nie oznacza, iż należy skupić całą władzę w Brukseli. Nie oznacza też, iż wszystkie decyzje muszą być podejmowane przez biurokratów, nie wybieranych, lecz mianowanych na swoje stanowiska. Dostrzegam ironię w fakcie, że w chwili, gdy wiele państw odchodzi od sowieckiego modelu zarządzania wszystkimi procesami z centrum i widzi zalety rozproszenia władzy, niektórzy Europejczycy chcieliby pójść w przeciwną stronę. Nie po to ograniczyliśmy rolę państwa w Wielkiej Brytanii, by teraz poszerzać prerogatywy europejskiego superpaństwa i poddawać się dominacji Brukseli.

Oczywiście chcemy, aby Europa była bardziej zjednoczona i aby miała silniejsze poczucie wspólnych zamierzeń i celów. Równocześnie jednak musimy zachować różnorodność tradycji, dumę z przynależności do swojego narodu, zagwarantować autonomię parlamentów narodowych. Były to bowiem przez wieki źródła europejskiej witalności”.

* * *

Dla brytyjskich eurosceptyków Unia to także zagrożenie dla samej idei demokracji jako władzy przedstawicieli ludu – wybranych przez lud i służących ludowi. Bruksela to przecież siedlisko antydemokratów, mianowanych na swoje stanowiska według niejasnych reguł, żyjących w wieży z kości słoniowej, zarabiających krocie i stojących ponad prawem – taki właśnie obraz UE mają w głowie miliony mieszkańców Wielkiej Brytanii. Obraz niekiedy celowo wyolbrzymiany przez media, czasami zbyt czarno-biały, lecz – przynajmniej – ostatecznie niewiele odbiegający od rzeczywistości.

Wyspiarskie media i niektórzy politycy z uporem śledzą wszelkie ekscesy unijnych urzędników, wytykają im brak kompetencji i zarzucają nieetyczną postawę. W listopadzie 2004 roku Nigel Farage, eurodeputowany Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa ujawnił, że francuski kandydat na stanowisko komisarza ds. transportu i turystyki Jacques Barrot w przeszłości zdefraudował publiczne pieniądze. Ówczesny przewodniczący Parlamentu Europejskiego Josep Borrell domagał się od Farage’a przeprosin i wycofania „kłamliwych

oskarżeń”. Jednak Farage nie kłamał: Barrot istotnie został skazany na osiem miesięcy w zawieszeniu, ale objęła go automatycznie prezydencka amnestia (głową państwa był wtedy partyjny towarzysz i imiennik Barrota, Jacques Chirac). Unijni liderzy nie przejęli się tą plamą na życiorysie kandydata: Barrot dostał stanowisko komisarza oraz... wiceszefa Komisji Europejskiej. Kilka miesięcy później Farage przypuścił atak na samego przewodniczącego KE, José Manuela Barroso, gdy okazało się, że spędził on tydzień wakacji na jachcie greckiego armatora i miliardera Spirosa Latsisa. Wkrótce koncern Latsisa miał otrzymać dotację w wysokości ponad 10 milionów euro dotacji z budżetu państwa, na którą Komisja musiała wydać zgodę. Farage’owi udało się doprowadzić do zwołania specjalnej sesji europarlamentu, podczas której Barroso odpowiadał na pytania posłów. Na tym jednak problemy przewodniczącego się skończyły – Portugalczykowi włos z głowy nie spadł.

Wielu Brytyjczyków traktuje Unię i jej bezkarnych urzędników tak, jak ich przodkowie traktowali innych wrogów Zjednoczonego Królestwa: z mieszaniną lęku i pogardy. Z jednej strony obawiają się ideologicznej ofensywy Brukseli, z drugiej uważają eurokratów za ludzi nikczemnych i niegodnych poważnej debaty; arywistów, którzy wyrażają się o Anglii ze zdumiewającą arogancją, choć sami zapewne żałują, że nie są Anglikami. Bo przecież tak naprawdę to niespełnione marzenie wszystkich Europejczyków – zostać brytyjskim arystokratą, ergo: wstąpić na najwyższy szczebel drabiny darwinowskiej ewolucji.

Dlatego też od czasu do czasu mamy okazję usłyszeć bezkompromisowe tyrady brytyjskich eurosceptyków, którzy wnoszą się na szczyty sztuki retorycznej, kpiąc z eurokratów i ich nowomowy. Nierzadko ocierają się przy tym o małostkowość, a nawet wulgarność

(co przecież nie przystoi prawdziwemu angielskiemu diukowi). Tak było choćby w lutym 2010 roku, gdy Nigel Farage rozprawiał się w Strasburgu z Hermanem Van Rompuyem, świeżo namaszczonym na przewodniczącego Rady Europejskiej: „Ma Pan charyzmę mokrej ścierki i wygląda Pan jak urzędnik bankowy niskiego szczebla. Chciałbym Panu zadać jedno pytanie: kim Pan jest? Nigdy o Panu nie słyszałem. Nikt w Europie o Panu nie słyszał. Chciałbym Pana zapytać: kto na Pana głosował, Panie Przewodniczący, i jakie narzędzie mają do dyspozycji Europejczycy, by Pana odwołać. Zdaję sobie sprawę, że nie macie zbyt dużego szacunku dla demokracji, ale czy tak ma wyglądać europejska demokracja? Mimo wszystko wyczuwam, iż ma Pan pewne kompetencje, że jest Pan zdolny, a jednocześnie niebezpieczny, bo Pana główną intencją jest zamordowanie demokracji w Europie oraz europejskich państwach narodowych. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Widać wyraźnie, że nie może się Pan pogodzić z faktem, iż państwa narodowe nadal istnieją. Może dlatego, że pochodzi Pan z Belgii, którą trudno uznać za państwo (...). Szanowny Panie, nie ma Pan na tym stanowisku żadnego umocowania prawnego. Myślę, że wyrażę opinię większości brytyjskiego narodu, jeśli powiem: nie znamy Pana i nie chcemy Pana. Im szybciej Pan odejdzie, tym lepiej”.

Różnice między Wielką Brytanią a Europą kontynentalną odnajdziemy także w systemach politycznych. Rola polityka na Wyspach jest inna niż w Holandii, Szwecji czy Portugalii. Jednomandatowe okręgi wyborcze, właściwie nieznanne na kontynencie, wymuszają odmienny stosunek do wyborców. To dlatego Nigel Farage i jego eurosceptyczni rodacy tak często podnoszą kwestię niedemokratycznego wyboru przewodniczącego Rady Europejskiej i szefa Komisji Europejskiej oraz niemożność odsunięcia ich od władzy w wyniku głosowania. Nic dziwnego, że takie argumenty padają ze strony polityków, dla których bezpośredni kontakt z obywatelami we własnym okręgu jest nie tylko

czymś naturalnym, ale wręcz warunkiem *sine qua non* politycznego przetrwania. Abstrahując od rozlicznych wad tego systemu, trzeba przyznać, że jedno nie ulega wątpliwości: Brytyjczyk wrzucający kartkę wyborczą do urny może być pewien, że jego głos ma swoją wagę i że w ostateczności może zdecydować, czy jego ojczyzna będzie miała premiera torysa czy laburzystę. W przypadku głosu oddanego w wyborach do Parlamentu Europejskiego nigdy nie wiadomo, czy to, co wyjdzie z urn, będzie rzeczywiście zgodne z wolą wyrażoną przez Europejczyków. Prawicowa czy też centroprawicowa większość w Strasburgu nie musi wcale oznaczać, że szef Komisji Europejskiej będzie konserwatystą. Może to być socjaldemokrata, który będzie realizował swoje lewicowe ideały. I na odwrót: większość mandatów może zdobyć lewica, opowiadająca się np. za poluzowaniem rygorów budżetowych wobec krajów strefy euro, ale przewodniczącą Komisji Europejskiej i tak wskaże Angela Merkel, a rygory nie zostaną złagodzone ani na jotę.

Z kolei w Izbie Gmin większość ma albo Partia Konserwatywna, albo Partia Pracy, a wyborcy z grubsza wiedzą, czego mogą oczekiwać od jednych i drugich (choć oczywiście partyjne programy – nazywane górnolotnie i nie bez powodu „manifestami” – ulegają modyfikacjom). Koalicyjny rząd Davida Camerona to wyjątek we współczesnej historii brytyjskiego parlamentaryzmu. Poprzednim był gabinet Winstona Churchilla w czasie II wojny światowej. Wicepremierem był wówczas laburzysta Clement Attlee (późniejszy szef rządu). Także na tym polu istnieje wyraźny rozdźwięk między Albionem a Europą kontynentalną, gdzie właśnie rządy koalicyjne (albo tzw. kohabitacja – jak we Francji, gdy prezydent i premier pochodzą z różnych ugrupowań) są normą, a rządy większościowe – rzadkością.

Na kontynencie zawiązywanie koalicji i zawieranie kompromisów jest naturalnym sposobem prowadzenia polityki, zarówno na poziomie rządów krajowych, jak i w rozgrywkach wewnątrzunijnych. Samo słowo „kompromis” ma z zasady wydźwięk pozytywny, a określenie „polityk zdolny do kompromisu” jest w Europie jedną z najwyższych form pochwały. Gdy liderzy UE forsowali na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej kandydaturę Hermana Van Rompuy’a właśnie tę jego cechę wymieniano jako najważniejszą – tak jakby „zdolność zawierania kompromisów” miała przykryć wszystkie jego wady jako potencjalnego „prezydenta Unii”.

Dla Brytyjczyków „kompromis” ma zdecydowanie negatywne konotacje – może być co najwyżej zgniły. Politycy w Londynie nie są do kompromisów przyzwyczajeni, nigdy się ich nie musieli uczyć, bo przez dziesiątki lat torysi i laburzyści wygrywali na przemian wybory i zdobywali absolutną większość w Izbie Gmin. Kolejni premierzy nie zawierali z nikim kompromisów, gdyż nie było takiej potrzeby. Nie zastanawiali się, które ministerstwa oddać sojusznikowi ani jak podzielić się posadami w spółkach skarbu państwa. Szefowie rządów obejmowali władzę i w najlepszej wierze robili swoje, realizując „manifest”, przeprowadzając reformy, wydając instrukcje, nagradzając lub besztając podwładnych. Musieli się jedynie liczyć z opozycją w szeregach własnego ugrupowania, lecz także w tym wypadku nie byli zbyt skłonni do ustępstw – z tego m.in. powodu fotel premiera straciła Margaret Thatcher.

* * *

Wbrew rozpowszechnionym na kontynencie opiniom eurosceptycyzm nie jest wyłączną domeną torysów oraz nowego gracza na brytyjskiej scenie politycznej – wspomnianej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP). Wprawdzie wyborcy obu ugrupowań są w zdecydowanej większości niechętni Unii jako takiej, jej instytucjom oraz pracującym w nich urzędnikom, lecz stojących po drugiej stronie barykady laburzystów również trudno nazwać euroentuzjastami. Bardziej pasowałoby do nich określenie „eurorealiści”. W tym sensie całe polityczne spektrum w Wielkiej Brytanii jest przesunięte nieco na prawo – jeśli uznamy, że jednym z wyróżników europejskiej prawicy jest krytyczny stosunek do Unii jako organizacji i jako pewnej ideologii. W każdym innym kraju UE torysi byłiby zapewne określani jako „skrajna, eurofobiczna prawica”, zaś laburzyści jako „umiarkowane centrum”. Za prawdziwych euroentuzjastów uchodziliby z kolei Liberalni Demokraci, którzy od lat opowiadają się za większą integracją z Unią. Ich przywódca, Nick Clegg, pieczołowicie kultywuje wizerunek ortodoksyjnego liberała na modłę europejską, łącznie z podkreślaniem swojego ateizmu oraz faktu, iż biegle posługuje się pięcioma językami (jego matka była Holenderką, a żona pochodzi z Hiszpanii).

Warto przypomnieć, że do Zjednoczonej Europy Wielką Brytanię wprowadzali konserwatyści, a laburzyści przez wiele lat opowiadali się przeciwko akcesji. W 1962 roku, podczas dorocznej konferencji Partii Pracy w Brighton, jej lider Hugh Gaitskell mówił o niebezpieczeństwach związanych z przystąpieniem do Wspólnoty i o idei stworzenia „federalnej Europy”: „Co oznacza federacja? Oznacza mianowicie, iż władza jest odbierana rządowi i parlamentowi narodowemu. Jeśli się

zdecydujemy na federację, będziemy tylko jednym ze stanów w Stanach Zjednoczonych Europy, tak jak Teksas czy Kalifornia są tylko stanami w USA. (...) Musimy sobie uświadomić, że federacja to koniec Wielkiej Brytanii jako niepodległego państwa narodowego. Możemy się sprzeczać, czy to dobrze, czy źle, ale powinniśmy być tego świadomi (...). To koniec tysiąca lat naszej historii. Możecie stwierdzić: no trudno, niech i tak będzie. Tylko że, do diaska, taka decyzja wymaga nieco namysłu i rozwagi!”.

Laburzyści obawiali się zrazu utraty przez Wielką Brytanię suwerenności. Później przedstawiali EWG jako rozsądnik skrajnego liberalizmu gospodarczego. Jak by to nie brzmiało paradoksalnie, brytyjska lewica dostrzegała podobne, złowrogie intencje zarówno w Brukseli, jak i u thatcherystów. EWG miała doprowadzić do ograniczenia praw pracowniczych, zmarginalizować związki zawodowe, promować wolny rynek usług. Słowem: Wspólnota była w oczach liderów Partii Pracy leseferystycznym potworem, który dążył do wprowadzenia na Wyspach liberalnego zamordyzmu (skądinąd ówczesne obawy dowodzą także, jak daleką drogę przeszła przez ostatnie lata sama Unia). W 1983 roku, a więc dziesięć lat po wstąpieniu Wielkiej Brytanii do EWG, w programie wyborczym laburzystów pojawiło się takie oto zdanie: „Gdy obejmiemy władzę, rozpoczniemy wstępne rozmowy z państwami członkowskimi Wspólnoty, by ustalić kalendarz wyjścia Wielkiej Brytanii z organizacji”.

Warto też przypomnieć, iż to laburzystowski kanclerz skarbu Gordon Brown stanowczo (i skutecznie) sprzeciwiał się przyjęciu przez Wielką Brytanię euro. Jego słynne „pięć testów” brzmi dziś jak memento dla wszystkich tych krajów, które zdecydowały się na przystąpienie do

eurolandu. Brown zadał pięć prostych pytań: 1. Czy cykle biznesowe i struktury ekonomiczne wszystkich krajów są na tyle kompatybilne, by pozwalały im sprawnie funkcjonować w ramach reżimu jednakowych stóp procentowych? 2. Czy będziemy mieli możliwość elastycznego reagowania, tak aby poradzić sobie z ewentualnymi problemami? 3. Czy przystąpienie do unii walutowej wytworzy lepsze warunki do długoterminowego inwestowania na Wyspach dla zagranicznych podmiotów? 4. Jaki wpływ będzie miało przystąpienie do unii walutowej na pozycję naszego sektora usług, a przede wszystkim działalność City? 5. Czy wstąpienie do unii monetarnej przyniesie stabilność, wzrost gospodarczy i zwiększenie liczby miejsc pracy?

Brown odrzucał ideę przyjęcia euro, bo jako człowiek odpowiedzialny za brytyjską gospodarkę i finanse państwa domyślał się, czym to się skończy. Na wszystkie pytania odpowiadał negatywnie, zaś „pięć testów” stało się jednym z filarów europejskiej polityki rządów Tony’ego Blaira, a potem samego Browna. W czerwcu 2007 roku, podczas swojej pierwszej konferencji prasowej w charakterze premiera, Brown podkreślił, iż decyzja o pozostaniu Wielkiej Brytanii poza strefą euro była ze wszech miar słuszna.

Brown wymyślił swoje „pięć testów” jeszcze w 1997 roku, gdy wspólna waluta pozostawała w fazie przygotowawczej. Dopiero teraz jednak widać, że świetnie przewidział rozwój wypadków. Stabilność? Wzrost gospodarczy? Mniejsze bezrobocie? Brytyjczycy nie musieli nawet daleko szukać odpowiedzi: otrzymali ją od Greków, Hiszpanów i Cypryjczyków.

Brown był przeciwnikiem euro i nie darzył też zbyt miłą miłością traktatu lizbońskiego. Jego kraj go przyjął, lecz brytyjski premier ostentacyjnie nie wziął udziału w uroczystym podpisaniu dokumentu w stolicy Portugalii 13 grudnia 2007 roku. Zjednoczone Królestwo reprezentował minister spraw zagranicznych David Miliband. Brown dotarł do Lizbony dopiero wieczorem tego samego dnia i złożył swój podpis podczas kolacji liderów państw UE.

* * *

I konserwatyści, i laburzyści musieli przez lata lawirować między oczekiwaniami zdecydowanie eurosceptycznego rodzimego elektoratu a oczekiwaniami przywódców krajów Europy kontynentalnej. Niektórzy osiągnęli w tej sztuce prawdziwe mistrzostwo. Tony Blair np. znakomicie czuł się w towarzystwie federalistów, a podczas szczytów Rady Europejskiej przekonywał swoich towarzyszy z Niemiec, Francji czy Belgii, że jest takim samym eurofilem jak oni. Natomiast na potrzeby własnych wyborców kreował się na obrońcę brytyjskich interesów przed złowieszczymi zakusami Brukseli. Niemniej rozumiał, że aby bronić ich skutecznie, należy budować dobre relacje z innymi premierami i prezydentami oraz dbać o silną reprezentację Wielkiej Brytanii w unijnych instytucjach. „Blair był w tym bardzo sprawny. Poświęcał sporo czasu i energii na poszerzanie swoich wpływów w Brukseli” – mówił w grudniu 2012 roku w rozmowie z „Guardianem” Robert Cooper, brytyjski dyplomata, który swego czasu „przeszedł na

drugą stronę” i zaczął pracować w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych. Cooper zwrócił też uwagę na kontrast między Blairem a Cameronem, który akurat tę dziedzinę całkowicie zaniedbał.

W ostatnich latach Partia Konserwatywna patrzy na Unię Europejską z coraz większą podejrzliwością. Gdy torysi pod wodzą Williama Hague’a przegrali wybory w 2001 roku, partyjni bossowie uznali, że tylko skręt w stronę buńczuczności eurosceptycyzmu może ich uratować przed całkowitą degrengoladą i politycznym niebytem. Hague był eurosceptykiem, ale jego następca Iain Duncan Smith miał poglądy jeszcze radykalniejsze. Chciał m.in. wyprowadzić Partię Konserwatywną z frakcji Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim i przyłączyć się do Unii na rzecz Europy Narodów. Jednak brytyjscy eurodeputowani sami zawetowali tę decyzję – doszli do wniosku, że sojusz z siłami skrajnej prawicy nie wyjdzie im na dobre.

W 2004 roku doszło do kolejnego wydarzenia, które spotęgowało eurosceptyczne nastroje na Wyspach. Unia Europejska przyjęła dziesięciu nowych członków, głównie z Europy Środkowo-Wschodniej, a Londyn zgodził się otworzyć dla obywateli tych państw swój rynek pracy. Tysiące Polaków, a także Czechów, Słowaków, Litwinów wyruszyło nad Tamizę w poszukiwaniu lepszego życia. Z miejsca zdobyli uznanie pracodawców, którzy cenili sobie ich oddanie, punktualność i znajomość języka. Nie zdobyli jednak uznania brytyjskich tabloidów, które znalazły sobie nowy cel dla swoich kampanii nienawiści. „The Sun”, „The Daily Mirror” i „The Daily Mail” roztaczały przed swoimi czytelnikami wizję milionowych hord przybywających ze wschodnich stepów, zabierających pracę Anglikom, uprawiających przestępczy proceder i przynoszących najrozmaitsze zarazy, z AIDS na czele.

Krzyczące nagłówki, budzące strach i odrazę wobec imigrantów, padały na podatny grunt. Całą winę można było zrzucić na Unię Europejską, która znów udowodniła, że działa na szkodę Albionu. Politycy nie mogli sobie pozwolić na otwarcie rasistowskie stwierdzenia, jakie niekiedy wpływały spod piór co bardziej krewkich dziennikarzy, lecz z drugiej strony nie mogli nie zauważyć narastającej wściekłości wyborców. Skorzystali na tym torysi: rosnący eurosceptycyzm był jednym z powodów, dla których wygrali w 2010 roku wybory do parlamentu – po trzynastu latach rządów Partii Pracy – a nowym premierem został David Cameron (notabene rok wcześniej Cameron dokończył dzieła Iaina Duncana Smitha i zerwał z EPP w Parlamencie Europejskim, tworząc, m.in. wraz z Prawem i Sprawiedliwością oraz czeskim ugrupowaniem ODS, frakcję Europejskich Konserwatystów i Reformatorów).

Od tego czasu Cameron toczy z Unią zaciekle boje. Wielu liderów UE uważa go za zatwardziałego eurosceptyka, choć akurat pod tym względem Cameron nie odbiega od konserwatywnej średniej, a nawet plasuje się lekko poniżej linii wyznaczonej przez Żelazną Damę.

Premier stanowczo domagał się oszczędności w unijnym budżecie, a jednocześnie nie ustępował ani na krok w sprawie rabatu, wywalzonego w 1984 roku przez Margaret Thatcher. Wielka Brytania nie zdecydowała się na podpisanie paktu fiskalnego – jako jeden z dwóch krajów członkowskich UE (tym drugim były Czechy). Broniąc interesów City, Cameron opierał się także próbom ustanowienia ściślejszego nadzoru nad europejskim sektorem bankowym i sprzeciwiał się wprowadzeniu podatku od transakcji finansowych.

Jego nieprzejednane stanowisko wywoływało coraz większą irytację przywódców Niemiec, Francji, europejskich komisarzy, a także niektórych eurodeputowanych. „Europa *à la carte* nie może dobrze funkcjonować” – mówił jesienią 2012 roku Guy Verhofstadt, były szef rządu belgijskiego. „Wielka Brytania ciągle stwarza jakieś problemy. Jeżeli Cameronowi zależy na tym, aby jego kraj stał się członkiem drugiej kategorii – proszę bardzo, możemy mu to załatwić. Tylko że Brytyjczycy szybko się zorientują, że to nie leży w ich interesie”. Przewodniczący grupy europosłów bawarskiej CSU Markus Ferber był jeszcze bardziej szczery, gdy stwierdził, że „postawa Londynu jest egoistyczna” i że Wielka Brytania „musi się w końcu zdecydować, czy chce nadal być jednym z 27 członków Unii, czy raczej przyłączyć się do USA, jako 51 stan, i przyjmować rozkazy prosto z Waszyngtonu”.

Strony kontynentalnych gazet zaroily się od krytycznych wobec Camerona komentarzy. Wielka Brytania sama się izoluje, Wielka Brytania odwraca się do Europy plecami, Wielka Brytania stroi fochy, Wielka Brytania będzie jeszcze tego żałować. Większość publicystów zwracała uwagę, iż Cameron musi się zmagać z wewnątrzpartyjną frakcją eurosceptyczną, domagającą się rozpisania referendum w sprawie dalszej obecności Wielkiej Brytanii w UE, oraz stawić czoła prawicowej konkurencji ze strony Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, która zaczęła podbierać torysom wyborców.

To wszystko prawda, jednak polityka Camerona jest w największej mierze uwarunkowana przez politykę Berlina i Brukseli. Unia Europejska zmierza dziś dokładnie w tym kierunku, przed którym przestrzegala Margaret Thatcher – postępującej centralizacji władzy, zarówno politycznej, jak i gospodarczej. Cameron nie jest większym

eurosceptykiem niż jego poprzednicy, a stanowisko Wielkiej Brytanii wcale nie uległo zaostreniu. Jeśli przyjmiemy, że w Unii można być albo umiarkowanym realistą, albo eurosceptykiem, albo entuzjastą federalizmu, to na tej umownej skali strzałka pokazująca pozycję Albionu od lat stoi właściwie w jednym miejscu, nieco bliżej eurosceptycyzmu niż realizmu; za to strzałka pokazująca unijną „średnią” bardzo wyraźnie przesunęła się w stronę ścisłej federacji. Dopiero na tym tle polityka Camerona rzeczywiście wydaje się „antyeuropejska”, choć tak naprawdę jest „antyfederacyjna”. Brytyjczycy są *en bloc* nazywani eurosceptykami, tak jak niegdyś, w krajach rządzonych przez komunistycznych dyktatorów, wszyscy miłośnicy wolnego rynku byli nazywani „faszystami”, a w krajach rządzonych przez dyktatorów prawicowych wszyscy obrońcy praw człowieka stawali się z miejsca „bolszewikami”.

Według euroentuzjastów Brytyjczycy popełniają kolosalny błąd, zatrzymując proces integracji. Wieszczą, iż Londyn będzie miał na forum unijnym coraz mniej do powiedzenia i z czasem zostanie całkowicie zmarginalizowany. Przekonują, że Wielka Brytania bardziej potrzebuje Unii, niż Unia Wielkiej Brytanii, a zatem jej ewentualne wyjście ze Wspólnoty najwięcej szkód przyniesie jej samej.

Z drugiej strony analogiczne rzeczy można powiedzieć o Unii Europejskiej, gdy spojrzymy na jej rolę na arenie globalnej. Kłuje w oczy nieobecność UE przy najważniejszych światowych wydarzeniach, jej indolencja i brak spójnej polityki nawet w stosunku do najbliższych sąsiadów. Jej znaczenie maleje, także w gospodarce – państwa członkowskie są zadłużone po uszy, Unia jest coraz mniej

konkurencyjna, starzeje się i gnuśnieje. Jakimi zaletami miałyby do siebie przekonać polityczne elity Wielkiej Brytanii, czym miałyby przyciągnąć do siebie zwykłych Brytyjczyków?

Coraz więcej decyzji istotnych z punktu widzenia interesów Albionu podejmuje się na innych forach: G8, G20, Światowej Organizacji Handlu. Dla wielu brytyjskich firm ważniejsze jest rozwijanie współpracy z krajami z grupy BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Republika Południowej Afryki) albo byłymi koloniami w Afryce i Azji, niż z Luksemburgiem czy Słowacją. Kiedy minister spraw zagranicznych Jej Królewskiej Mości wybiera się z wizytą do Nigerii lub Pakistanu, brytyjscy przedsiębiorcy mogą się spodziewać nowych kontraktów. Gdy ten sam minister wraca z Brukseli, mogą się jedynie spodziewać nowych regulacji, zakazów i nakazów.

W jednej ze swoich analiz Frank Vibert, profesor London School of Economics, pisze: „Niektóre kraje Unii, takie jak Wielka Brytania, mogą dywersyfikować swoją politykę, szukać okazji do umocnienia własnej pozycji w instytucjach o zasięgu światowym. Nie muszą wyłącznie koncentrować się na Unii Europejskiej, która jest, mimo wszystko, organizacją o charakterze regionalnym”.

David Cameron zapowiedział, że będzie się starał ustalić z Brukselą nowy *modus vivendi*, który pozwoliłby Wielkiej Brytanii zachować „specjalny status” w ramach Unii, a jednocześnie zadowolić radykalnych eurosceptyków – zarówno wśród torysów, jak i wszystkich wyborców. Jeśli premierowi powiedzie się ten manewr, w 2015 roku

miałoby się odbyć na Wyspach referendum. Głosujący zdecydowaliby, czy chcą pozostać w Unii na nowych warunkach, czy mimo wszystko chcą ją opuścić.

Cameron gra *va banque*. By uzyskać zgodę obywateli na pozostanie w UE, musiałyby wywalczyć bardzo daleko idące koncesje ze strony Brukseli – tak, by Wielkiej Brytanii nie obowiązywała większość *acquis communautaire*, ale by miała ona nieograniczony dostęp do jednolitego rynku. Wydaje się, że to stracénicza misja.

* * *

W unijnym Eurobarometrze z 2012 roku zaledwie 27 procent Brytyjczyków wyznało, iż czuje się „mocno” lub „dość mocno” przywiązanych do Unii Europejskiej (średnia w UE wynosiła 46 procent). Aż 72 procent stwierdziło, że czuje słabą więź z Unią albo wręcz nie czuje jej wcale (średnia unijna: 52 procent). Peter Kellner, prezes YouGov, jednego z najważniejszych ośrodków badania opinii publicznej na Wyspach, przewiduje, iż ewentualne referendum zakończyłoby się zwycięstwem zwolenników wyjścia z Unii. W eseju napisanym dla Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych Kellner wyszczególnił trzy grupy wyborców w zależności od ich poglądów na stosunki Wielkiej Brytanii z UE.

Największa z nich to tzw. zaniepokojeni narodowcy, których Kellner opisuje w następujący sposób: „Mają tradycyjne podejście do roli Wielkiej Brytanii w Europie, o przyszłości myślą pesymistycznie, a gdyby ich kraj był zamkiem otoczonym fosą, najchętniej w ogóle nie opuszczaliby zwodzonego mostu i trzymali zewnętrzny świat na dystans. Mają złe zdanie na temat ONZ i szeroko rozumianej pomocy międzynarodowej, a Unia Europejska to dla nich twór kompletnie nieudany”.

Kolejna grupa to „pragmatyczni narodowcy”. Kellner: „To także tradycjoniści, choć nastawieni do świata nieco bardziej optymistycznie. Nie są miłośnikami internacjonalizmu, ale uważają, że Wielka Brytania powinna współpracować z międzynarodowymi instytucjami. Gdyby ich kraj był zamkiem, opuszczaliby most od czasu do czasu, by utrzymywać kontakt ze światem zewnętrznym. Są podzieleni, jeśli chodzi o ocenę funkcjonowania i dotychczasowych osiągnięć Unii Europejskiej, ale nie pałają do niej zbyt gorącym uczuciem”.

I wreszcie ostatnia grupa – „postępowi internacjoniści”. Kellner: „Ich wizja Wielkiej Brytanii opiera się raczej na wartościach niż na tradycji. W zdecydowanej większości uważają, że Wielka Brytania powinna się bardziej angażować we współpracę międzynarodową i że Unia Europejska odniosła sukces. Gdyby ich kraj był zamkiem, po prostu opuściliby zwodzony most na stałe”.

Jedno jest pewne: niezależnie od tego, jak szeroka będzie fosa, zamek będzie stał zawsze w tym samym miejscu. Jeśli nie nastąpi żadna niespodziewana katastrofa, Wielka Brytania przez najbliższe kilkaset tysięcy lat nie zmieni swojego położenia: nadal będzie oddzielona od Starego Kontynentu jedynie kanałem La Manche, który w najwęższym miejscu ma niewiele ponad 30 kilometrów szerokości – czyli tyle, ile wynosi odległość z Warszawy do Piaseczna.

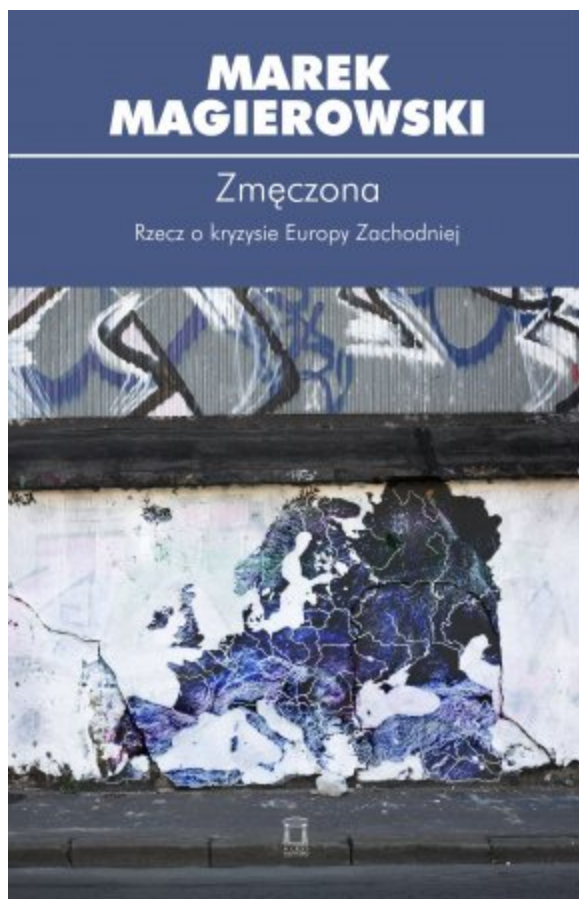
Wielka Brytania nie zmieni także swojej historii, do cna europejskiej, z czego m.in. doskonale zdawała sobie sprawę Margaret Thatcher. Przytoczmy jeszcze jeden fragment jej przemówienia z Brugii: „Europa nie jest wytworem traktatów rzymskich. Idea zjednoczonej Europy nie jest własnością żadnej grupy ludzi czy instytucji. My, Brytyjczycy, mamy takie samo prawo do dziedzictwa europejskiej kultury, co inne narody. Nasze więzi z kontynentalną Europą były w dziejach Wielkiej Brytanii czynnikiem dominującym. Przez trzysta lat byliśmy prowincją Imperium Rzymskiego, a na naszych mapach wciąż można odnaleźć proste odcinki dróg zbudowanych przez Rzymian. Nasi przodkowie – Celtowie, Saksonowie, Duńczycy – także przybyli z kontynentu. (...) Wystarczy odwiedzić nasze katedry, zapoznać się z naszą literaturą, usłyszeć nasz język, by zrozumieć, jak intensywnie czerpaliśmy z kulturowego bogactwa Europy i Europejczyków”.

Thatcher myślała o Europie Szekspira, Beethovena, Cervantesa i Rembrandta. Dzisiejszym eurokratom Europa kojarzy się z traktatami, rezolucjami, dyrektywami i funduszami spójności. Być może dlatego Brytyjczykom tak ciężko dziś zrozumieć i zaakceptować unijne instytucje, a przywódcom UE tak trudno pojąć, dlaczego Brytyjczycy ciągle są z czegoś niezadowoleni. I być może dlatego zielone murawy w

Yorkshire i Sussex, pielęgnowane i podlewane od kilkuset lat, wyglądają dużo lepiej niż sztuczne, położone naprędce trawniki w Brukseli i Strasburgu.

Marek Magierowski

Rozdział pochodzi z książki *Zmęczona. Rzecz o kryzysie Europy Zachodniej*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2013



Zmęczona. Rzecz o kryzysie

Europy Zachodniej - Marek Magierowski

„Marek Magierowski należy do chlubnych wyjątków wśród polskich dziennikarzy i publicystów rozumiejących znaczenie polityki międzynarodowej. Swoje zainteresowania łączy z głęboką znajomością tematu, co w połączeniu ze świetnym piórem dało w efekcie wyjątkową

książkę. Jest ona diagnozą obecnego kryzysu Europy na przykładzie najważniejszych państw Zachodu. Najcenniejsze w analizie Magierowskiego jest pokazanie, że kryzys Zachodu nie jest dzisiaj wyłącznie upadkiem finansowym czy ekonomicznym. U podstaw tego załamania leży bowiem jeden z najpoważniejszych w historii Europy kryzysów wartości”.

Marek A. Cichocki

„Europa wymyka się politycznym planistom. Jeszcze parę lat temu miała się „coraz bardziej jednoczyć“ – politycznie, kulturowo i gospodarczo. Teraz zachodzą w niej zaskakujące, nieoczekiwane i często groźne procesy. Fascynująca książka Marka Magierowskiego, znakomitego dziennikarza specjalizującego się w problematyce międzynarodowej, opisuje je i analizuje w mistrzowski sposób. Każdy, kto chce rozumieć współczesną rzeczywistość europejską, powinien ją przeczytać“.

Zdzisław Krasnodębski

„Książka Marka Magierowskiego jest przedsięwzięciem wyjątkowym nie tylko na rynku polskim. Diagnoza kondycji współczesnej Europy przeprowadzona przez przenikliwego, kompetentnego i – co może najtrudniejsze – odważnego, a więc nieskrępowanego poprawnością polityczną, obserwatora jest tym, czego dziś wyjątkowo potrzebujemy. Nawet jeśli niekiedy przybiera charakter antyutopii”.

Bronisław Wildstein

ISBN 978-83-62628-67-4, 264 strony

Patronat nad książką – Tygodnik „Do Rzeczy”, „Teologia Polityczna”,
www.300polityka.pl

Spis treści:

Wstęp 7

Rozkład. O tym, jak primaaprilisowe żarty stały się w Europie
rzeczywistością 19

Hegemon. O państwie, które trzęsie Europą, choć tego nie lubi 55

Dama. O wzlocie i upadku hiszpańskiego marzenia 87

Wyspa. O brytyjskich problemach z kontynentem 113

Katedra. O szorstkiej przyjaźni Francji i Niemiec 135

Opera. O pewnym nieśmiertelnym narcyzie, który kocha siebie i...
media 155

Burka. O ekspansji islamu i klęsce multikulturalizmu 171

Tęcza. O homoseksualnej rewolucji nad Sekwaną 201

Kryształowa kula. O tym, co czeka Europę w przyszłości 225